

Sylwester Szafarz

Czyja to wina? Po ostatnich wyborach uzupełniających do Kongresu USA, w połowie kadencji parlamentarnej (tzw. Mid-Term Elections, na początku listopada 2014 r.), rozległy się w Stanach i – praktycznie – na całym świecie dość histeryczne i raczej tendencyjne głosy o tym, iż bolesna przegrana Partii Demokratycznej [1] oznacza, de facto, klęskę prezydenta Baracka Obamy. To niewielka część prawdy. Prezydent usiłuje wprowadzić „trzymać fason”, ale nie ulega wątpliwości, iż ww. przegrana wyborcza dotyka go osobiście do żywego i że może oznaczać ona początek końca jego kariery prezydenckiej. Zresztą, pozostały mu jeszcze tylko dwa bardzo trudne lata – jak dobrze pójdzie? Faktem jest także, iż Kongres (Izba Reprezentantów i Senat), opanowany przez Republikanów, może dowolnie ukierunkowywać i paraliżować sprawowanie władzy prezydenckiej, lub wręcz je uniemożliwić – i to niezależnie od tego, że przywódcy obydwu partii deklarują gotowość do współpracy. Partie te są rzeczywiście bardzo do siebie podobne – pod względem programowo-organizacyjnym i same się „nie skrzywdzą”. Odróżniamy jednak Realpolitik od Propagandapolitik. Unikajmy też niezdrowego schematyzmu i wyolbrzymiania znaczenia i wpływów władzy prezydenckiej w USA oraz gloryfikowania doskonałości „demokracji amerykańskiej”. Po wyborach – jest znów dobra okazja, żeby nazwać pewne rzeczy po imieniu. Spróbujmy.

Doprawdy, w USA nie ma znaczenia, czy Prezydent nazywa się Obama, Clinton, Reagan, Kennedy, Roosevelt, Waszyngton, Lincoln czy inny? Bowiem nie on tam rządzi, nawet jako formalny zwierzchnik sił zbrojnych. Faktyczne rządy spoczywają w rękach Decision Making Centers (DMCs), czyli czołowych przedstawicieli wielkiego kapitału, największych banków, kompleksu wojskowo-przemysłowego, wpływowych lobbies, szczególnie żydowskiego, izraelskiego, brytyjskiego, niemieckiego, włoskiego oraz mafii, masonerii i in. Współpracują z nimi posłusznie najważniejsze ośrodki naukowo-badawcze, media i inne instytucje opiniotwórcze. To prawda znana od dawna.

Chyba większą od prezydenckiej faktyczną władzę sprawuje obecnie w USA prof. Janet Louise Yellen, prezeska zarządu Federal Reserve – banku centralnego USA, regulując swymi decyzjami, szczególnie stopami procentowymi, ewolucję gospodarki amerykańskiej [2]. W takich warunkach, prezydent wybierany za przyczyną i za zgodą tych potężnych ośrodków władzy realnej i faktycznej jest jedynie marionetką w ich rękach oraz potulnym wykonawcą otrzymywanych rozkazów. Ma też w tym celu odpowiednich doradców. Jeżeli prezydent jest posłuszny swym mocodawcom i jeżeli wie mu się jako tako w polityce wewnętrznej i zagranicznej, to wówczas jest on tolerowany, a nawet wspierany przez mocodawców. Jeżeli zaś nie spełnia tych warunków, to może spotkać go nawet los prezydenta John’a Fitzgerald’a Kennedy’ego, zastrzelonego w Dallas (Teksas) 22 listopada 1963 r. w okolicznościach i z powodów owianych do dziś tajemnicą.

W istocie rzeczy, wyniki ostatnich Mid-Term Elections oznaczają więc całkowite przejęcie najwyższej władzy w USA przez Partię Republikańską, niezależnie od tego, że prezydent wywodzi się z Partii Demokratycznej. Od początku I kadencji Baracka Obamy (20 stycznia 2009 r.) [3] wielu zastanawiało się nad tym, dlaczego na najwyższe stanowisko państwowe w USA desygnowany został po raz pierwszy w historii polityk ciemnoskóry i to w dodatku, mający drugie, islamskie imię Hussein? Odpowiedź na to zasadnicze pytanie jest dość prosta. Ww. Decision Making Centers postanowiły desygnować na to stanowisko kogoś, kto mógłby

zapewnić pokój społeczny w USA w warunkach kryzysowych, opanować potencjalny gniew i bunt biedoty (głównie – „kolorowej”), umacniać pozycje USA w świecie oraz przeprowadzić jako tako państwo i społeczeństwo przez perturbacje kryzysowe, nie dopuszczając do zbyt wielkich strat DMCs – z tego powodu. Jak dotąd, Barack Obama wykonał tylko w niewielkiej części owe trudne zadania i dlatego dano mu do zrozumienia, że musi odejść.

Jest też jasne, iż – w przypadku totalnego niepowodzenia w polityce wewnętrznej i zagranicznej – B. Obama stanie się głównym „kozłem ofiarnym” – a DMCs schowają się znów za jego plecami. Przepraszam za to skojarzenie, ale postawa decydentów amerykańskich przypomina do żywego znane powiedzenie: „Murzyn zrobił swoje, Murzyn musi odejść”. Od dłuższego czasu B. Obama jest coraz bardziej nieporadny i coraz ostrzej krytykowany przez polityków neokonserwatywnych, przez „tuby medialne” DMCs, przez analityków oraz przez zwykłych obywateli/wyborców bezceremonialnie manipulowanych socjotechnicznie. Powiadają oni, że to jeden z najgłupszych prezydentów USA w całej ich historii. Nic przeto dziwnego, że współczynnik popularności prezydenta i poparcia dla jego polityki w społeczeństwie jest niski i utrzymuje się poniżej 40 proc.

„Demokracja amerykańska”? W pewnym sensie, Barack Obama jest już ofiarą głównego winowajcy tego, co dzieje się obecnie w USA oraz za przyczyną USA – w świecie, czyli nie tylko UMCS, lecz nade wszystko, systemu politycznego istniejącego w Stanach, szczególnie skrajnego neoliberalizmu, neokonserwatyzmu i tzw. „demokracji amerykańskiej”. Nie ma ona wiele wspólnego z autentyczną demokracją (czyli władzą ludu – demos), która – zresztą – chyba nigdy i nigdzie nie istniała i nie istnieje?! Zamiast teoretycznie idealnej demokracji, od dawien dawna mamy do czynienia w Ameryce z autorytarnymi rządami DMCs, przy czym tamtejszy demos stanowi jedynie tło wyborcze i alibi dla owych rządów oraz paradoksalne i pożałowania godne uzasadnienie dla „American Democracy”. Wyniki kolejnych wyborów w USA są a priori, dość łatwe do przewidzenia – bowiem obie partie zamieniają się rutynowo miejscami u steru władzy, nie dopuszczając doń innych sił politycznych, np. Tea Party [4], tzw.

alterglobalistów, Occupy Wall Street Movement i in. To są więc tylko pozory demokracji i próby usatysfakcjonowania i przekonania obywateli/wyborców, że nie rządzi stale ta sama partia, lecz jedna po drugiej, na zmianę. Za to stale rządzą DMCs – co jest chyba najbardziej istotne w tym względzie. W istocie rzeczy, „American Democracy” jest precyzyjnie regulowana, sterowana i manipulowana przez DMCs. Właśnie ten system i ci decydenci, a nie sam Barack Obama, są główną przyczyną jego i jego partii dotychczasowego niepowodzenia!

Zwykło się wmawiać obywatelom USA, że wierzchołkiem piramidy demokratycznej i miarą demokracji są tam wybory różnego rodzaju i udział w nich. Tak być powinno, ale tak nie jest. Bowiem kandydatami w tych wyborach nie są przedstawiciele zgłaszani przez naród/demos, który ma tylko bardzo ograniczone bierne prawo wyborcze (stawianie krzyżyków przy nazwiskach kandydatów na kartce do głosowania), lecz wybrańcy DMCs. Poza wszystkim, bycie kandydatem i wybranym do władz ustawodawczych wszystkich szczebli w USA, centralnych i terytorialnych – wymaga dużych nakładów finansowych, na jakie stać tylko najbogatszych lub tych, których bogaci popierają (w nadziei, że wybrańcy zrewanżują się bogatym i będą bronić ich interesów). Co więcej, od dawna wybory w USA wygrywa się poprzez dostęp do telewizji, czy – ostatnio – również do innych najnowszych multimedialnych. Równie kosztowne są wiece i kampanie wyborcze, finansowane z reguły przez wielkie korporacje, koncerny, banki i miliarderów; wiece – jako starożytne igrzyska dla cesarzy i dla pospółstwa, z tym, że teraz organizowane w formie widowisk w stylu hollywoodzkim. Biednych kandydatów

nie stać na takie wydatki.

W tym sensie, „demokracja amerykańska” i tzw. wybory demokratyczne – to instytucje bardzo mocno przereklamowane, nienormalne i nierealne. Nic dziwnego, że nie dają się one przeflancować, nawet siłą, do innych krajów (np. Irak, Afganistan itp.); zaś tam, gdzie zostały już ustanowione (np. Polska, Ukraina i in.), instytucje te prezentują się karykaturalnie, parodystycznie i anarchistycznie. W ślad za pierwowzorem amerykańskim, w innych krajach zamiast rządów demokratycznych tworzą się rządy autorytarne, zamiast władzy ludu, władza grup interesów (DMCs) czy nawet pojedynczych potentatów/oligarchów itp. Wystarczy spojrzeć na to, co wyczyniają dwie największe i zabetonowane, po amerykańsku, partie polityczne w RP, na Ukrainie i in.?! W każdym razie, specyfika, by nie powiedzieć ułomność, „demokracji amerykańskiej” i tamtejszych wyborów stanowi nadrzędną przyczynę ostatniego niepowodzenia wyborczego Partii Demokratycznej i zwiastun raczej smutnego finału Baracka Obamy.

Przyczyny bezpośrednie: sam prezydent też ponosi określoną część odpowiedzialności za to, co się dzieje w polityce wewnętrznej i zagranicznej USA. W końcu, zdawał on sobie sprawę z tego, jak funkcjonują mechanizmy „demokratyczne” i wyborcze we własnym kraju i mógł nie podjąć się realizacji zadania powierzonego mu przez DMCs. Ale się podjął, z czego już teraz i już niedługo będzie rozliczany. Cena za zaszczoty i za luksusy prezydenckie może być bardzo wysoka, także w kategoriach osobistych i rodzinnych. Krytycy zarzucają panu prezydentowi nieefektywną politykę gospodarczą i zagraniczną, słabość i niewydolność polityczno-strategiczną, co widać w podejściu do kalifatu islamskiego, do epidemii ebola i in. oraz to, że nie dotrzymuje on obietnic przedwyborczych (pozytywne przemiany i reformy – change oraz sławetne: „yes, we can” – „tak, potrafimy”). Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Obiektywnie, niedotrzymywanie obietnic jest nie tylko chorobą obamowską, lecz grzechem i niedomaganiem politycznym dość powszechnym na świecie. Póki co, ocena generalna jest taka, że Barack Obama – to przywódca zbyt słaby i niezdecydowany – jak na wymagania i na potrzeby amerykańskie oraz na bezprecedensowe złożoności współczesnej sytuacji globalnej. Jego wielki paradoks i ironia losu polega, m.in. na tym, że pokojowa nagroda Nobla, przyznana mu – niejako – na kredyt i nie bez udziału DMCs, nie powstrzymała pana prezydenta od patronowania kilku wojnom na raz (Afganistan, Irak, Ukraina, kalifat islamski, terroryzm i in.). Niektórzy mają także za złe prezydentowi, iż nie powinien on zostać w ogóle wybrany, gdyż nie posiada obywatelstwa amerykańskiego (tajemnicze kłopoty ze świadectwem urodzenia?), oraz że nie prezentuje on odpowiedniego stylu sprawowania władzy – przywództwa (Leadership Style). Jest w tym trochę racji, ale – w końcu – co kto lubi? Bez wątplenia, urząd prezydencki zawsze i wszędzie wymaga wiedzy, kompetencji, dalekowzroczności, zdecydowania, godności i powagi. Nie można powiedzieć, że Barackowi Obamie nie starcza tych przymiotów, ale – w odbiorze amerykańskim – jest on zbyt populistyczny, wręcz rozrywkowy (choć nie tak bardzo, jak, np. Bill Clinton) i raczej zorientowany w stronę Afro-Americans, innych „kolorowych”, biednych i upośledzonych. Wilka ciągnie do lasu. To jest jednak przedstawiciel nowego pokolenia przywódców politycznych. Tymczasem średni Amerykanin jest przyzwyczajony do innego wizerunku prezydenta – poważnego ojca narodu, wręcz przywódcy światowego i zdecydowanego pokerzysty (czy szachisty) w grze krajowej i globalnej. B. Obama nie spełnia tych kryteriów oraz nie zapewnia Amerykanom takiego wizerunku i takiego komfortu. Oto jest obiektywny powód psychologiczno-socjologiczny jego względnego niepowodzenia do tej pory, ostatniej klęski wyborczej Partii Demokratycznej i zapowiedź niezbyt ciekawej przyszłości –

zobaczymy.

Przyczyny ekonomiczne: one mają, bez wątpienia, największy wpływ na wyniki wyborcze. Choć wyznają zasadę: „nie sądz, abyś sam nie był sądzony”, to muszę obiektywnie przyznać, iż polityka gospodarcza rządu B. Obamy jest nieefektywna i dalece nieadekwatna do trudnych wymagań i uwarunkowań kryzysowych. Obecny kryzys amerykański i globalny został spowodowany przez wielkich pazernych bankierów i finansistów z USA. Oni się do tego przyznali i oni chcieli zarobić na kryzysie. Ale ponieśli ogromne straty i – wraz z nimi – miliardy ludzi na świecie. Dlaczego cierpimy z ich powodu? Barack Obama znalazł się w Białym Domu w samym epicentrum kryzysu. Jego (i DMCs) obowiązkiem było powstrzymanie lawiny kryzysowej oraz zminimalizowanie jej konsekwencji. Być może, prezydent tak właśnie postąpiłby, gdyby dysponował odpowiednio silną władzą? Tak się jednak nie stało. Bowiem, główną troską DMCs było naturalnie ratowanie rekinów finansjery amerykańskiej („za dużych, żeby zbankrutować”), zapewnianie im wielomiliardowych dotacji ze środków podatników i drukowanie papierowych pieniędzy bez pokrycia, co może spowodować eksplozję inflacyjną i kolejną bańkę kryzysową, tym razem walutową (tzw. „Currency Bubble”).

Blizsze spojrzenie na współczesną gospodarkę amerykańską prowadzi do krańcowo przeciwnych i paradoksalnych wniosków. Bowiem, z jednej strony, giełdy (i bogaci na nich grający) trzymają się teraz dość dobrze, choć wcześniej stracili ogromne pieniądze w manipulacjach giełdowych. Np. nowojorski indeks Dow Jones przekroczył ostatnio 17.000 punktów – a w czasach szczytu kryzysowego oscylował wokół 14.000 punktów. Jednakże również ten medal ma swoją drugą i znacznie mniej pocieszającą stronę, dotyczącą biednej i najbiedniejszej większości. Np. liczba obywateli USA wegetujących poniżej minimum socjalnego (ok. 23.850 USD rocznie, na czteroosobową rodzinę) wynosi już ponad 15 proc., czyli ok. 50 mln osób (na 320,3 mln obywateli USA). A więc rząd swoje a społeczeństwo – też swoje. Protestują i krytykują nie tylko biedni. Np. wpływowy miliarder Donald Trump określa USA mianem „dużej Grecji lub Hiszpanii”, bowiem znajdują się one na skraju przepaści finansowej oraz uważa, że Stany nie są już bogatym krajem, zwłaszcza z uwagi na swe ogromne zadłużenie, o czym poniżej. Inni analitycy twierdzą, że gospodarka USA rozwija się od jednej „bańki” do drugiej (America’s Bubble Economy) – informatycznej, hipotecznej i – teraz – walutowej.

Ogromna nadprodukcja papierowego pieniądza bez pokrycia bowiem i wpompowanie go do gospodarki może przynieść skutek odwrotny od zamierzonego, spowodować spadek siły nabywczej dolara, nasilenie tendencji inflacyjnych oraz wzrost cen towarów zagranicznych importowanych do USA. Przez ostatnie 5 lat, Federal Reserve wspierała politykę władz i sztucznie ratowała gospodarkę – poprzez masowe skupowanie obligacji rządowych za ogólną sumę 4,5 bln USD (czyli – ponad 20 proc. wartości PKB!). Poczynania te określono mianem Quantitative Easing Strategy, QES [5]. Wskaźniki giełdowe dźwigały się wówczas ku górze. Teraz QES się skończyła. Nadchodzi godzina prawdy. Sami Amerykanie oceniają, że wzrost gospodarczy w ich kraju jest „anemiczny” („anemic”) i że prognozy na przyszłość nie są dobre („not good”).

Analizę ekonomicznych przyczyn omawianej porażki wyborczej Demokratów przeprowadźmy głównie przez pryzmat wymownych danych statystycznych, zaczerpniętych ze źródeł amerykańskich, Banku Światowego i in. Każdy może dokonać własnej oceny tych danych. Oto one: aż 84 proc. Amerykanów jest zdania, że stan gospodarki ich kraju nie uległ poprawie od 2009 r., zaś 40 proc. uważa, że gospodarka ta rozwija się zbyt wolno i za słabo, a 25 proc. nie

zgadza się całkowicie z polityką gospodarczą rządu B. Obamy.

Poczynając od roku 2009 do dziś, średnioroczny przyrost PKB kształtował się zaledwie w granicach 1,8 proc., czyli o dużo za mało w stosunku do potrzeb (w 2014/15 r., możliwy jest jednak wskaźnik wzrostu PKB w granicach 3 proc.). Obecnie wartość PKB USA wynosi 17,4 bln USD (2. miejsce w świecie – po Chinach), zaś PKB per capita osiągnęło 53.000 USD (10. miejsce w świecie). Kolosalny paradoks: 1 proc. najbogatszych Amerykanów „przechwytuje” aż 95 proc. wartości PKB. To wyjaśnia wiele, prawie wszystko. Nie ulega też wątpliwości, iż znaczny wpływ na „anemiczną” gospodarkę amerykańską ma słabowity rozwój ekonomiczny w Eurozone, sytuacja w Rosji i na Ukrainie, konflikty z państwami islamskimi, dekonstrukcja gospodarcza w świecie, fluktuacje cen złota i surowców strategicznych itp. Powiązania globalizacyjne.

Po drugie, wartość łącznego zadłużenia w USA przekroczyła już szacunkowo 160 bln USD. To niewyobrażalnie wysoka suma, niemożliwa do spłacenia w dającej przewidzieć się przyszłości. Na łączne zadłużenie kraju składa się 5 rodzajów długu: - publiczny/ rządowy (jawny), który zbliża się obecnie do wartości 20 bln USD (ok. 130 proc. wartości PKB) oraz publiczny ukryty (to, zazwyczaj, trzykrotna wartość długu jawnego); - przedsiębiorców; - konsumentów; są to tzw. długi prywatne, które najbardziej nakręcają następną spiralę kryzysową. W roku 1950 zadłużenie prywatne stanowiło 55 proc. PKB, a obecnie już 156 proc. PKB! – dług zagraniczny oraz inne długi ukryte (firm ubezpieczeniowych, szpitali i itp.). Jednocześnie obecny deficyt budżetu federalnego wynosi prawie 612,5 mld USD, a ujemne saldo w bilansie handlowym – 43 mld USD. Wynika ono ze spadku eksportu towarów i usług amerykańskich z powodu kryzysu globalnego.

Zresztą, sytuacja inwestycyjno-finansowa w Stanach jest dość dziwna, paradoksalna i niezrozumiała. Bowiem, z jednej strony, kraj potrzebuje poważnych nowych inwestycji (np. infrastruktura, zaopatrzenie w wodę, innowacje, najnowsze technologie i in.), ale inwestycje te nie są podejmowane w odpowiedniej skali. Pieniądzy nie brakuje – zyski wielu koncernów i przedsiębiorstw są znaczne, niezależnie od kryzysu. Ale nie chcą one inwestować w obawie przed niewystarczającym zapotrzebowaniem i popytem konsumenckim. Również banki zgromadziły łącznie ponad 2,7 bln USD w postaci rezerw ponadnormatywnych i też trzymają te wielkie sumy w bezruchu – z analogicznych przyczyn. Wyjściem byłyby inwestycje publiczne (państwowe), ale i w tej mierze władze centralne, stanowe i terenowe nie wykazują zbytniego entuzjazmu i inicjatywności. Tymczasem, ów paraliż w zakresie skłonności do inwestowania i samego inwestowania jest o tyle groźny, że może on stymulować nową falę kryzysową.

USA (US Army, Navy & Air Force) utrzymują 1,4 mln ludzi pod bronią oraz 860.000 rezerwistów. Budżet wojskowy wynosi 678 mld USD (20 proc. wydatków państwowych), plus – dodatkowo ok. 90 mld USD na tzw. operacje zagraniczne, z których gospodarka i społeczeństwo nie ma większego pożytku. Stopa inflacji jest niewielka – 1,5 proc.

Jak wspominałem powyżej, historia kryzysów ekonomicznych i finansowych uczy, że właśnie duże zadłużenie jest zarodkiem kolejnego kryzysu. Przestrzega przed tym, np. prof. Richard Vague wybitny ekonomista amerykański, który opublikował niedawno książkę pt.: „The Next Economic Disaster. Why It's Coming and How to Avoid It?” („Kolejna katastrofa gospodarcza. Dlaczego nadchodzi i jak jej uniknąć?”), University of Pensylvania Press, 2014 r.

Problemy społeczne: niedobra sytuacja w gospodarstwie światowym oraz komplikacje ekonomiczne w samych Stanach Zjednoczonych powodują także poważne zaostrenie problemów społecznych. Chyba nigdy po II wojnie światowej nie były one tak nabrzmiałe, jak

obecnie. Dumnym i wymagającym obywatelom Ameryki żyje się coraz gorzej. Pogłębia się przepaść między begunem bogactwa a begunem biedy. Głównym miernikiem rozwarstwienia majątkowego i dochodowego jest tzw. współczynnik Gini. Jego wartość zerowa (0) oznacza absolutną równość majątkowo-dochodową w danym społeczeństwie, a 100 punktów – całkowitą nierówność. Nie ma ani jednego zerowego przypadku Gini na naszej umęczonej planecie. W skali światowej, współczynnik ten wynosił, średnio 45 – 200 lat temu, a teraz znów powrócił do liczby 45! Czyli pod tym względem ludzkość cofnęła się o 200 lat wstecz. Skandaliczna sprawa. Jedynie, w latach 70-tych 20. wieku, globalny współczynnik Gini spadł do wielkości 36, ale od tej pory – stale wzrasta. W USA wynosi on obecnie 48 (a w Polsce – 35). 70 proc. majątku (bogactwa) amerykańskiego należy do 5 proc. najbogatszych obywateli! Zresztą, prof. Janet Louise Yellen prezeska zarządu Federal Reserve przyznaje z całą szczerością, iż jeszcze nigdy w ciągu ostatnich 100 lat, dysproporcje dochodowe w społeczeństwie amerykańskim nie były tak duże, jak obecnie. Pogłębiają się one, w szczególności, od roku 2007 (początek kryzysu globalnego). Charakterystyczne, iż współczynnik Gini jest wysoki również w innych krajach gospodarczo rozwiniętych.

Stopa bezrobocia w USA jest dość duża, ale ostatnio spadła ona oficjalnie do 5,8 proc. ogółu zatrudnionych, co wywołało entuzjazm u prezydenta B. Obamy. Z tym miernikiem bezrobocia jest jednak poważny problem, gdyż niektórzy analitycy oceniają, że wynosi on faktycznie 16 proc. a nawet 21 proc. Realistycznie rzecz ujmując należy ocenić, iż stopa owa kształtuje się w granicach 9 - 10 proc. W USA mieszka 156 mln ludzi zdolnych do pracy (tzn. w wieku produkcyjnym) – czyli łatwo obliczyć sobie, ilu jest bezrobotnych (oficjalnie i nieoficjalnie). W każdym razie, jest to duża armia ludzi, którą należy pomnożyć, średnio, przez 4 osoby (rodziny), aby uzyskać rozmiary jakże licznej grupy społecznej – poniżonej, wykluczonej i niezadowolonej. Fachowcy spodziewają się, niestety, dalszego wzrostu bezrobocia i podkreślają, że poprawa sytuacji może nastąpić w wyniku wdrożenia większej skali innowacyjności i inwestycji w gospodarce. W konsekwencji bezrobocia, ponad 1,5 mln gospodarstw domowych w USA dysponuje sumą tylko 2 USD dziennie – na utrzymanie. W gospodarstwach tych jest ponad 3 mln dzieci. W ogólności – 17 mln dzieci znajduje się w rodzinach, którym nie starcza na jedzenie (głodujących). Aż 46,3 mln biednych obywateli amerykańskich (1/6 ogółu ludności) zmuszona jest korzystać z darmowych talonów (kartek) żywnościowych od rządu. W USA jest 643.000 bezdomnych.

Dość trudna sytuacja utrzymuje się nadal w służbie i w ochronie zdrowia. Ambicją prezydenta B. Obamy było polepszenie tej sytuacji i zapewnienie ubezpieczeń społecznych oraz opieki lekarsko-szpitalnej na wysokim poziomie, szczególnie obywatelom pozbawionym takich świadczeń. Jego program przeszedł do historii USA pod mianem Obamacare (pełna nazwa: Patient Protection and Affordable Care Act – PPACA). Kwestia ta wywołuje ciągle wiele sprzeciwów, oporów i dyskusji w Stanach Zjednoczonych, choć jest naturalnie na rękę obywatelom korzystającym z udogodnień obamowskich. Istnieje ryzyko, że władza republikańska może zniweczyć te dokonania. Prezydent podpisał ustawę PPACA dnia 23 marca 2010 r. (wejście w życie), po uprzednim jej przyjęciu przez Kongres. Z kolei, Sąd Najwyższy USA zatwierdził tę ustawę dnia 28 czerwca 2012 r.

Umożliwia ona pacjentom szerszy zakres ubezpieczeń zdrowotnych oraz dostęp do opieki lekarskiej i szpitalnej na wysokim poziomie (także prywatnej). Usuwa też pewne anomalie w tym zakresie, szczególnie, kiedy firmy ubezpieczeniowe „przerzucały” sobie wzajemnie pacjentów,

którzy nierzadko pozostawali bez ubezpieczenia zdrowotnego i bez opieki lekarskiej. Ustawa zakazuje także ubezpieczycielom samowolnego podnoszenia składek i opłat za usługi lekarsko-szpitalne, wprowadza dotacje i subsydia dla służby zdrowia oraz rozszerza zakres profilaktyki i zwiększa dostępność służby zdrowia dla obywateli. Finansowanie tych nowatorskich (w USA) zmian zapewnione zostało ze środków państwowych i prywatnych, co – naturalnie – pociągnęło za sobą większe obciążenia podatkowe dla najbogatszych (najlepiej zarabiających). Właśnie na tym tle i za ich przyczyną toczy się nadal ostra batalia wokół Obamacare a jej wynik ostateczny nie jest jeszcze przesądzony. W każdym razie, już ponad 105 mln Amerykanów skorzystało z dobrodziejstw omawianej ustawy. Zmniejszyła się także liczba obywateli nieubezpieczonych – od 18 proc. ogółu (w 2013 r.) do 13,4 proc. (w połowie 2014 r.). Jak dotychczas, Obamacare jest znacznym, choć jeszcze niepełnym, sukcesem pana prezydenta.

Polityka zagraniczna: ta kardynalna dziedzina w wydaniu obamowskim wymagałaby odrębnej, obszernej i pogłębionej analizy. Jest o czym myśleć i pisać. Jednakże, w niniejszym krótkim opracowaniu, skoncentrujemy się jedynie na kilku węzłowych aspektach tego zagadnienia, które mają najważniejsze znaczenie dla USA i dla reszty świata. Szczerze powiedziawszy jestem bardzo rozczarowany z powodu negatywnej reorientacji i niskiej efektywności współczesnej polityki zagranicznej USA za prezydentury B. Obamy oraz jej niebezpiecznych aberacji, zwłaszcza w ostatnich czasach. Nie mam też większych nadziei na to, że sytuacja ulegnie poprawie, wręcz przeciwnie – spodziewam się raczej zaostrzenia merytoryczno-metodologicznego w polityce zagranicznej Waszyngtonu, szczególnie, po przejęciu pełni władzy przez Republikanów. Chyba, że spełni się ponownie znana prawda, że Moskwie i Pekinowi lepiej i łatwiej pertraktuje się z Waszyngtonem, kiedy rządzą tam Republikanie niż Demokraci.

Na początku I kadencji prezydenta Obamy wyglądało na to, że nastąpi pozytywny zwrot jakościowy w polityce zagranicznej USA. Państwo to było naonczas ubabrane, by tak rzec, w awanturę iracką, afgańską, bliskowschodnią, antyterrorystyczną i in., znalazło się w apogeum kryzysu globalnego, a na horyzoncie majaczyły już przebłyśki nadciągających rewolucji islamskich. Szybko zmieniał się układ sił globalnych – na niekorzyść USA. Świat wkraczał w epokę postamerykańską. Wówczas to, B. Obama stwierdził, iż Stany Zjednoczone nie panują już nad światem – do niedawna jeszcze jednobiegunowym, po upadku ZSRR, w roku 1991. Wydawało się, że Waszyngton i sam prezydent wkroczy na drogę realizmu, pragmatyzmu oraz budowania lepszego i nowego świata wielobiegunowego, oczywiście z udziałem pozytywnie przeobrażonych USA. Był to okres, kiedy B. Obama wygłosił (na Uniwersytecie w Kairze) przemówienie nt. „nowego otwarcia wobec Islamu”, kiedy mówiono o „resecie” stosunków USA z Rosją, i kiedy poprawiała się współpraca amerykańsko-chińska. Optymizm i nadzieja na lepsze nie potrwała jednak długo. Waszyngton powrócił dość szybko na drogę hegemonizmu, agresywności, dominacji supermocarstwowej i odbudowy swej wiodącej pozycji w świecie. Dziś można już stwierdzić, iż wybór tego rodzaju stanowi kardynalny błąd strategiczny o znaczeniu długofalowym i zasadniczą pomyłkę w ocenie sytuacji amerykańskiej i globalnej (Miscalculation). Naturalnie, trudno dziwić się temu, że Ameryka pragnie usilnie powrotu do swej pozycji supermocarstwa nr 1; ale Ameryka powinna wiedzieć, że obecnie jest to już mało realne (nawet za cenę wielkiej wojny) lub wręcz niemożliwe. Są dwa główne powody makro tej niemożności – zmiana układu sił w świecie oraz osłabienie pozycji globalnej USA i pogorszenie ich sytuacji wewnętrznej – skutek kryzysu globalnego i poważnych błędów w polityce

wewnętrznej i zagranicznej.

Nie mam stuprocentowej pewności, ale podejrzewam z dużym prawdopodobieństwem słuszności tej oceny, iż za tak radykalną zmianą, początkowo dość pozytywnej linii, formy i treści w polityce zagranicznej B. Obamy, kryją się owe DMCs, niektórzy doradcy i co bardziej wojownicze siły neokonserwatywne w obydwu partiach oraz jastrzębie z kompleksu wojskowo-przemysłowego. Ameryka straciła bardzo wiele na kryzysie i – zapewne chce zakamuflować swe straty wojowniczością lub też odrobić je, pobrzękując i wymachując szabelką. Na szczęście inne supermocarstwa, szczególnie Chiny, Rosja i Indie, dość skutecznie powstrzymują wojownicze zapędy jastrzębi amerykańskich. Dramaturgia obecnej sytuacji jest poważna, gdyby USA nadal kroczyły samowolnie i bezceremonialnie taką drogą, nie licząc się ze zdaniem innych, wówczas może to skończyć się ich zagładą. Bowiem pozostałe supermocarstwa też mają możliwości techniczne „zniszczenia” USA w ciągu 10 minut! Po co? Na co?

Czyli – globalny cel główny jest praktycznie nieosiągalny, ale USA wytrwale i uparcie dążą do niego. W wyniku tego, w ramach owej reorientacji w kierunku hegemonistycznym i supermocarstwowym, USA popełniły już wiele kolejnych błędów makro, podejmując chybione poczynania międzynarodowe, które mogą je bardzo drogo kosztować.

Chodzi, przede wszystkim, o bezprecedensowe skonfliktowanie się z Islamem, w ślad za wojną z radykalnym fundamentalizmem i terroryzmem islamskim („War on Terror”), której intensyfikacja nastąpiła pod pretekstem zniszczenia 2 wieżowców WTC w Nowym Jorku oraz wielkich strat ludzkich i materialnych z tym związanych. Jakie są dotychczasowe praktyczne rezultaty amerykańskiej „War on Terror”? Odwrotne od zamierzonych: terroryzm nasila się, dokonują się rewolucje islamskie, tworzy się kalifat islamski, leje się krew i trwają działania wojenne w Afryce, na Bliskim i Środkowym Wschodzie (Syria, Palestyna, groźby wobec Iranu itp.), w Iraku, Afganistanie, Pakistanie i gdzie indziej (oraz podburzanie muzułmanów na Zakaukaziu, w chińskim Sinkiangu i buddystów w Tybecie itp.). Do rangi symbolu niepowodzenia strategicznego urasta powrót US Army do Iraku, gdzie sprawa pacyfikacji i amerykanizacji miała być już dawno załatwiona – jak twierdził pochopnie i nieodpowiedzialnie b. prezydent George W. Bush, jr. Również z obamowskiego „nowego otwarcia wobec Islamu” nic jeszcze nie wyszło. DMCs i lobbies nie pozwalają prezydentowi na to. Nobel Peace Prize przeobraża się, w danym przypadku, w Nobel War Prize. Słowem, w żywotnym interesie samych USA i całego świata leży uspokojenie i normalizacja stosunków z Islamem, ale – we współczesnej sytuacji i przy obecnej polityce zagranicznej Waszyngtonu jest to zadanie niezwykle trudne w realizacji.

Drugi wielki błąd strategiczny – to gwałtowne pogorszenie stosunków USA z Rosją, czyli tzw. reset negatywny, „II zimna wojna” i nowy jakościowy wyścig zbrojeń. Inny wymowny symbol: Putin i Obama przeszli obok siebie (10.11.2014 r.) w Pekinie (na „szczycie” APEC) i zamienili niechętnie raptem parę słów. A jeszcze nie tak dawno konferowali całymi godzinami i poklepywali się przyjaźnie po plecach, przy każdej nadarzającej się sposobności. Co się nagle stało, że taka zmiana? Najwidoczniej DMCs uznały, że Rosja i odradzanie się jej ambicji imperialnych stanowi główną przeszkodę na drodze do hegemonizmu amerykańskiego i do dominacji USA w świecie. Rywala trzeba więc osłabić, a najlepiej – zniszczyć. Do pewnego czasu Rosja rozkojarzona po upadku ZSRR tolerowała z bólem te zapędy amerykańskie. Wiele spośród byłych państw członkowskich RWPG i Układu Warszawskiego przeszło bezkolizyjnie do UE i do NATO. Niemcy zjednoczyły się pokojowo dzięki M. Gorbaczowowi. Amerykańska i

unijna „strefa wpływów” rozkwitała w najlepsze na obrzeżach Federacji Rosyjskiej. Ale tego było Zachodowi za mało – zapragnął on jeszcze Ukrainy. I tu trafiła kosa na kamień. Kijów jest zbyt blisko Kremla. Obserwujemy wydarzenia ukraińskie „na żywo”. Była już jedna nieudana próba ustanowienia rządów prozachodnich na Ukrainie (Juszczenko/Tymoszenko). Teraz podjęto drugą próbę (Poroszenko/Jaceniuk – obaj mówią świetnie po amerykańsku). Pod przykrywką 2. Majdanu, okręty V-tej floty US Navy już płynęły do Sewastopola, żeby opanować tę strategiczną bazę morską. Ale armia i flota rosyjska była szybsza i odzyskała Krym. Nie jest jeszcze pewne, czym i kiedy zakończy się dramat i epos ukraiński? Póki co jednak, trwa tam próba rozszerzania na wschód amerykańsko-unijnej „strefy wpływów”. Przez Polskę i przez inne kraje bałtyckie przebiega już pierwsza linia frontu w konfrontacji amerykańsko-natowsko-rosyjskiej. Gen. Philip Breedlove, amerykański dowódca wojsk NATO w Europie domaga się umocnienia ich potencjału i obecności na wschodniej flance tego sojuszu. Samoloty bojowe z obydwu stron już ocierają się o siebie w powietrzu. Wojska rakietowe i lądowe są w stanie pełnej gotowości bojowej. Trwa wojna ekonomiczna, informatyczna i propagandowa Zachodu z Rosją itp. Wszystko to kryje w sobie ryzyko przekształcenia się „II zimnej wojny” w III wojnę gorącą. Czy nie można rozwiązywać inaczej konfliktów międzynarodowych? Można, ale trzeba chcieć i umieć. W tak trudnej sytuacji strategicznej, zaskoczeni władze polscy starają się niezdarnie i głównie w słowach umacniać potencjał obronny RP. Trochę za późno.

W przekonaniu neokonserwatystów i jastrzębi amerykańskich, Chiny stanowią kolejną i chyba najważniejszą przeszkodę w realizacji planów oraz ambicji hegemonistycznych i dominacyjnych Waszyngtonu. Jednak tym przypadku sytuacja jest znacznie bardziej skomplikowana, a błędy amerykańskie – znacznie poważniejsze, przy czym wcześniejsze z nich nakładają się na najnowsze. Wielu Amerykanów (z chlubnym wyjątkiem Henry Kissingera a nawet prezydenta B. Obamy) uważa, że USA postąpiły źle, że inwestowały w Chinach, przyczyniając się do China's Rise (rozkwitu Chin), że trzeba było uderzyć w Chiny, zanim stały się one potęgą itp. itd. Nie brak też w USA wpływowych osobistości, które prorokują nieuchronność militarnego „czołowego zderzenia” („Head-on Crash”) między Ameryką a Chinami. Głosił to, np., prof. Richard Felix Staar [6]. Byłem na jego wykładzie, na Uniwersytecie Warszawskim (na początku bieżącego stulecia) i słyszałem tę wypowiedź na własne uszy. Audytorium zamarło z przerażenia. Za kolejny wielki błąd USA wobec ChRL uznać należy to, co Waszyngton wyczynia obecnie w stosunku do Pekinu. Jest to dość brutalna choć, w zamierzeniu – subtelna „podwójna gra” („Double Game”). Bowiem, z jednej strony, kierownictwo amerykańskie zachowuje pozory i poprawność w odniesieniu do Chin. Sam B. Obama mówił w Pekinie (10.11.2014 r.), że Ameryka życzy sobie pomyślnych, rozwijających się i pokojowych Chin. Dwustronna i wielostronna (np. APEC) współpraca polityczna, gospodarcza, społeczna, kulturalna, naukowo-techniczna, strategiczna i in. rozwija się pomyślnie, jak gdyby nigdy nic. Ale z drugiej strony podejmowane są przez USA coraz intensywniej działania strategiczno-militarne celem przeciwstawiania się „ekspansjonizmowi chińskiemu”, szczególnie na obszarach Azji/Pacyfiku. Terytorium chińskie jest już opasane z trzech stron (z wyjątkiem północnej) łańcuchem ponad 20 amerykańskich baz wojskowych. Umacniane są sojusze militarne USA z Japonią, z Koreą Południową, z Filipinami, z Australią a nawet z... Wietnamem, zmasakrowanym przecież przez USA podczas pamiętnej wojny indochińskiej. Temu ostatniemu zamierza się wyznaczyć rolę neoUkrainy – przeciwko Chinom, jak niedawno określono rolę Ukrainy – przeciwko Rosji. USA podsycają spory terytorialne Chin z państwami sąsiadującymi

oraz ingerują w ich sprawy wewnętrzne (prawa człowieka, Sinkiang, Tybet/Dalaj Lama i in.). A przecież – na rozwiązanie czekają jeszcze takie poważne i wybuchowe kwestie, jak tajwańska, północno-koreańska (nuklearna) i in.

Nie jest tajemnicą, iż celem władarzy amerykańskich jest spowodowanie „kolorowej rewolucji” w Chinach. Świadczą o tym, inspirowane i popierane przez Zachód ekscesy studenckie w Hongkongu (początek października, 2014 r.), pod hasłem Occupy Central. Zastosowano tam znów wzorzec majdanowy, czy – wcześniejszy model – Occupy Wall Street w Nowym Jorku. Problemów jest więc wiele. Kierownictwo chińskie robi niemało, aby nie zaostrzać sytuacji w stosunkach ChRL–USA i prowadzi efektywną oraz bardziej wyrafinowaną, wręcz finezyjną politykę wobec Stanów Zjednoczonych. To napawa nadzieją na lepsze. Ale i w tym przypadku USA osiągają efekt odwrotny od zamierzonego, bowiem ich agresywna polityka wobec Chin i Rosji prowadzi do umocnienia współpracy między nimi, do konsolidacji i do wzrostu znaczenia obszarów Azji i Pacyfiku oraz do osłabiania pozycji obrzeży Północnego Atlantyku w świecie.

Konkluzja: z zainteresowaniem, z sympatią i z nadzieją obserwowałem ewolucję obamowskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej USA. Jestem jednak mocno rozczarowany (ale nie zaskoczony) jej dotychczasowymi wynikami, stereotypowymi treściami i anachroniczną metodologią, szczególnie w polityce zagranicznej USA. Przecież miała być ona nowatorska, innowacyjna i bardziej efektywna niż za poprzednich prezydentów, ale pozostała sobą – czyli polityką kowbojską i imperialną. Co więcej, okazała się ona nawet jakościowo gorsza od poprzednich – jeśli brać pod uwagę jej ww. globalne efekty odwrotne w stosunku do zamierzonych. Tracę już nadzieję, że B. Obama zdoła jeszcze cokolwiek zmienić w tym zakresie. USA i świat był nieco bardziej bezpieczny, kiedy prezydent obejmował władzę, zaś obecnie jest dużo bardziej niebezpieczny, kiedy przychodzi mu oddać władzę. Szkoda! Natomiast, jeśli weźmie się pod uwagę powyższą analizę sytuacji wewnętrznej w USA, to łatwiej można zrozumieć, dlaczego partia demokratyczna i jej prezydent przegrali ostatnie wybory i mogą przegrać jeszcze następne? Jako jeden z niezbyt licznych Polaków utrzymywałem regularny kontakt z Białym Domem w ostatnich latach. Otrzymywałem często wieści od pana prezydenta, od jego ministrów i od doradców, a nawet od pani Michelle Obama (First Lady), np. życzenia na dzień ojca, wiadomości o poczynaniach charytatywnych itp. Słowem – byłem i jestem dość dobrze poinformowany „z pierwszej ręki”. Dlatego mogę myśleć i pisać o tych sprawach szczerze i obiektywnie oraz bez aprioristycznych uprzedzeń. W ostatnim mailu z 06.11.2014 r., pan prezydent napisał mi tak: „...w dalszym ciągu planuję wykorzystać każdą chwilę w następnych dwóch latach, aby zakasać rękawy i pracować tak mocno, jak tylko potrafię dla narodu amerykańskiego. W naszym kraju dokonał się rzeczywisty i niekwestionowany postęp w ciągu sześciu lat od kryzysu gospodarczego z 2008 r. Ale nasza robota nie zostanie wykonana tak długo, jak długo każdy poszczególny Amerykanin nie odczuje korzyści ze wzrostu gospodarczego tam, gdzie liczy się to najbardziej – we własnym życiu...” [7]. Hmm, postęp – może i jest, ale jak dużo pozostaje jeszcze do zrobienia? A na zakasanie rękawów – już chyba trochę za późno? Cenię jednak bardzo wysoko dobrą wolę i starania pana prezydenta, ale wiem jednocześnie, że to, co się dzieje w USA i za ich przyczyną w świecie, to nie tylko jego „zasługa”. Historia oceni to sprawiedliwie. God bless America!

Sylwester Szafarz, dr ekonomii, dyplomata, publicysta polityczny

Odnośniki:

[1] W wyniku analizowanych wyborów obecny układ sił w Senacie (100 senatorów) kształtuje się następująco: 52 – Republikanie, 43 – Demokraci (reszta – inni); zaś w Izbie Reprezentantów (435 posłów): 243 – Republikanie i 175 – Demokraci (reszta – inni). Republikanie mają także 31 gubernatorów stanowych, a Demokraci – 15. W kilku stanach będzie jeszcze „dogrywka” wyborcza w niedługim czasie.

[2] Obecnie prezesem Zarządu Federal Reserve jest Pani Prof. Janet Louise Yellen, urodzona na Brooklyń'ie, w Nowym Jorku. Jej przodek, Jacek Jeleń, a później - Jacob Sellig Yellen (1892 r. – 1991 r.) wywodzi się z miejscowości Raczek, k. Suwałk. W wieku 5 lat wyemigrował on z rodziną do Bostonu (USA), a następnie – do Nowego Jorku. J. Jeleń (Yellen) został znanym tekściarzem i scenarzystą.

[3] Ponowny wybór B. Obamy na prezydenta USA – styczeń 2012 r.

[4] Nazwa Tea Party (Partia Herbaciana) nawiązuje do Boston Tea Party z 1773 r., która powstała na tle protestów społecznych przeciwko podwyższeniu podatku od herbaty. Korzenie obecnej Tea Party, kojarzonej z konserwatywną prawicą republikańską, sięgają 2007 r. (początek kryzysu). Partia domaga się, głównie i słusznie, zmniejszenia zadłużenia USA oraz ograniczenia deficytu w budżecie federalnym. Celów tych nie udało się jeszcze osiągnąć. Po okresie ożywienia swej działalności politycznej (2010 r. – 2011 r.), obecnie Tea Party przeżywa raczej schyłkowy etap w swym rozwoju. DMCs i zabetonowany dwupartyjny system polityczny w USA nie popuszcza i nie daje za wygraną.

[5] W okresie, kiedy system bankowo-finansowy w USA znalazł się na skraju przepaści, pod wpływem głębokiego kryzysu gospodarczego (2009/10 r.), rząd Baracka Obamy i Federal Reserve wkroczyły niezwłocznie do akcji i „dokapitalizowały” 6 największych banków amerykańskich sumą 160 mld USD. Ponadto, banki te zaciągnęły kredyty od budżetu państwa w wysokości dodatkowych 460 mld USD (z pieniędzy podatników). Można więc stwierdzić, iż wielkie banki zarobiły najwięcej na kryzysie. To norma i to wymowny przykład interwencjonizmu państwowego w warunkach – rzekomo – wolnego rynku w USA. Bez ww. aktu interwencjonizmu i w wyniku funkcjonowania tylko „niewidzialnej ręki rynku” – nastąpiłby, bez wątpienia, totalny krach systemu bankowo-finansowego w USA o bardzo poważnych konsekwencjach krajowych i globalnych. Ale przyszłość tego systemu jest nadal niepewna – z uwagi na ogromne zadłużenie kraju, na wzrost napięcia międzynarodowego i na osłabienie koniunktury w gospodarce światowej oraz na ww. „Currency Bubble”.

[6] Richard Felix Staar, wybitny politolog (wcześniej sowietolog) amerykański, profesor Hoover Institution na Uniwersytecie Stanford w Kalifornii. Urodzony w Warszawie, w 1923 r.

[7] Tekst w oryginale: „I plan on spending every moment of the next two years rolling up my sleeves and working as hard as I can for the American people. This country has made real and undeniable progress in the six years since the 2008 economic crisis. But our work will not be done until every single American feels the gains of a growing economy where it matters most: in your own lives...”.